

Julius Rosenzweig. Legenda żydowska

przełożył Miłosz Waligórski

Julius Rosenzweig, zwany Dłoniskiem przez wszystkich poza tymi, którzy mówili mu – Jol, był rabinem w pewnym miasteczku na południu Ukrainy. Nazwy tego miejsca dziś nikt nie pamięta, nie wiadomo też, czy jeszcze mieszkają w nim Żydzi i czy ktokolwiek tam słyszał o rabinie Juliusie, inaczej Dłonisku albo Jolu. To wszystko działo się bowiem dawno, tak dawno, że może wcale się nie wydarzyło. A może i tak, ale nie tak.

Po rabinie Juliusie, czyli Dłonisku albo Jolu, poza klątwą nie zostało nic.

Ale skoro już o niej wiemy, lepiej uwierzyć w coś, co wprawdzie mogło nie mieć miejsca, niż zostawić to bez żadnego wyjaśnienia. Albowiem najgorzej jest być przeklętym, a nie wiedzieć za co.

Więc stało się – oto historia o rabinie.

Był pobożny. Powiadają, że tak bardzo był pobożny, że w szabas stał przy oknie, które wychodziło na wierzbowy gaik i rzekę, i nie ruszał się aż do następnego dnia. Pozwalał płynąć rzece, zimową porą zamarać jej na brzegach, jesienią wierzbowom gubić liście i porywać je strumieniowi. Latem obserwował, jak mniej pobożni się kąpią.

Ale to nie wszystko, przecież takich, którzy tylko stali i patrzyli jest, olaboga, tylu, co mrówek w mrowisku wśród nagranych kamieni, a jednak nie doczekali się oni osobnej historii – a co dopiero klątwy.

Julius Rosenzweig był tak pobożny, że w szabas robił tylko trzy wdechy i trzy wydechy. A czasem i mniej. Ludzie przyglądali się i podziwiali go. Tylko po to, żeby zobaczyć Juliusa Rosenzweiga, przybywali z daleka – z Warszawy, Pragi czy Kijowa – niewierzący w żadne cuda, bogaci i wykształceni ludzie. Oni nie wiedzieli, że zwą go Dłoniskiem wszyscy poza tymi, co mówią na niego Jol.

Przyjeżdżali też katolicy i rabina Juliusa całowali w rękę.

Przyjeżdżali też prawosławni i rabina Juliusa całowali w rękę.

Muzułmanie nie przyjeżdżali, bo ich nie było. Stąd wiadomo, że to wszystko wydarzyło się bardzo dawno.

Ci, którzy przybywali, jeden po drugim pytali go o przyjaciół, którzy przestali być ich przyjaciółmi, o kobiety, z którymi nie jest już tak jak pierwszego dnia, o braci, z którymi przez kłótnie spadkowe zerwali kontakt. Julius Rosenzweig, zwany Dłoniskiem i Jolem, odpowiadał im, wspominając którąś z cnotliwości, a oni odchodzili szczęśliwi, pełni wiary

w rychłe pojednanie ze skłóconymi przyjaciółmi i braćmi, przekonani o niechybnej odmiennie swych małżonek.

Niektórzy się pogodzili.

Inni – pokłócili się jeszcze bardziej.

Jeszcze inni od zwaśnionych braci i nieprzyjaciół dostali siekierę w głowę.

W pokoju, sporze czy w grobie, wszyscy byli wdzięczni rabinowi, bo wierzyli w zbawienną moc jego cnotliwości. A Żydów w tym miasteczku na południu Ukrainy rozpiekało szczęście, że mają takiego rabina. Czuli się pewniej przed Bogiem, a przy okazji mogli dorobić się na handlu.

Julius był żonaty. Jego żona miała na imię Kala. Kala nie mówiła na niego ani Dłoniśko, ani Jol, ani Julius. Było to tak dawno, że już nikt nie pamięta, jak na niego mówiła. Pewnie nijak.

Po tym, jak urodziła mu syna, więcej jej nie dotknął. Kiedy jeszcze płakała, uważał, żeby łza nie skapnęła mu na płaszcz – nie chciał go splamić grzechami Kali. Kiedy zbliżały się trudne dni, Julius nie sypiał w domu, tylko na podwórku na drzewie orzechowym. Bał się, żeby nie przyszła do niego i go nie dotknęła.

Tak bardzo pobożny był rabin Julius Rosenzweig.

Styszeliście kiedyś o bardziej pobożnym?

Jeśli tak, zamilknijcie na wieczność, nie demaskujcie go nawet przed najbliższymi, bo tam, gdzie są tak pobożni, tam też jest klątwa.

Jego syn nazywał się Jozue Izaak Dezydery Dawid Maurycy Bencion Moško Bararon Baruch Leo Aron Szalom Ariel Ehud Oskar Ismael, ale mówili na niego Misza.

Kala chuchała na Miszę, ale im więcej chuchała, tym wyżej wspinał się on na drzewa, a w wieku zaledwie czterech lat umiał już przepływać rzekę. A rzeka, jak to bywa w Rosji i na Ukrainie, była szeroka.

Dopóki trwał pokój, rzeka płynęła spokojnie. „Nie ma wirów” – mówili młodzi, a rodzice ich za to ganili. Rzekę bez wirów nazywa się jeziorem albo morzem.

Ale ilekroć wybuchała wojna, jedna armia parła na drugą i spychała ją w kierunku rzeki. Wtedy skłębiały się wiry i wciągały co najmniej połowę wojsk. Tak było podczas każdej wojny, a w tamtych zamierzczłych czasach wojny zdarzały się często, chociaż dzisiaj nikt nie pamięta żadnej z nich, bo wtedy jeszcze nie było nikogo, kto mógłby te częste wojny opisać.

Ale Julius Rosenzweig o wojnach i żołnierzach-topielcach nie wiedział nic. W trakcie wojen siedział w bóżnicy. A kiedy zawierano rozejmy, Dłoniśko, zwany też Jolem, świętował z wojakami w miejskiej knajpie. Oni pili wódkę, a on nie pił nic. Nie wiadomo więc, jak świętował, ale świętował. I nikogo nie pytał, jak było na wojnie, żeby przypadkiem nie skapnęła mu na płaszcz łza, żeby nie przeszedł na niego czyjś grzech.

Było to w szabas tamtego upalnego i wilgotnego lata, zwiastującego deszczową jesień, łagodną zimą, a na wiosnę dżumę. Chłopczy kąpali się w rzece pod wierzbami, a rabin stał i patrzył. Kiedy chłopcy przyszli nad rzekę, rabin pierwszy raz wciągnął powietrze, a wypuścił je kiedy Misza, jego syn, skoczył z węzłowego wierzbowego pnia do wody.

Drugi wdech zrobił, kiedy słońce było już w zenicie, a chłopcy jeszcze nie wychodzili z rzeki.

Trzeci raz westchnął z nerwów. Był rozdrażniony, że w porze obiadu Misza nie wraca do domu. „Dlaczego Kala go nie woła?” – dręczył się, ale ani nie drgnął, ani nie krzyknął na chłopca.

Nawet w spojrzeniu ojca Misza nie mógłby wyczytać, że coś jest nie w porządku. Rabin był na tyle pobożny, że spojrzenie, którym zaczynał dzień, uśmiech czy mars, nie zmieniało się przez cały dzień. Pewnego razu przed szabasem rabina rozboleła głowa. Bolała go do tego stopnia, że jeszcze na granicy dnia zakręciła mu się w oku łza i potoczyła po policzku. Ale nawet ona w szabas nie śmiała się ruszyć, zatrzymała się w pół drogi i tkwiła tam, aż do końca dnia. Potem spłynęła dalej. Tak bardzo pobożny był Julius Rosenzweig, zwany Dłoniskiem, na którego niektórzy mówili Jol.

Widział, jak wir zmierza w kierunku chłopca. Był to pierwszy zaobserwowany wir w życiu rabina. Zbliżał się jak żywy. Jeśli przyjrzałby się temu ktoś bardziej doświadczony, pewnie pomyślałby, że to chłopiec przysuwa się do wiru, ale go nie widzi. Jednak rabin Julius na wirach się nie znał.

Patrzyli sobie prosto w oczy, ojciec i syn.

Oczy ojca były puste jak oczy Żyda, który nie pracuje w szabas.

Oczy syna były pełne radości z rzeki, z gry, z tego, że w szabas rozweseli ojca.

Takiego połknął wir. W ułamku sekundy – nie zdążył nawet krzyknąć. Tylko sięgnął po powietrze ręką i dwa, trzy razy zacisnął na nim palce.

Rabin nie wytrzymał i wziął jeszcze jeden oddech.

Następnego dnia Kala i rabin pochowali syna. Kala płakała, a on milczał. Już nie był tak pewny i chciał ją złapać za rękę, ale ona wyrwała się w popłochu. Już nigdy więcej nie płakała, tylko patrzyła na męża, jakby zrobił coś strasznego, coś, o czym tak samo wtedy, jak i dzisiaj nie można mówić na głos.

Po tym jak utopił się jego syn, ludzie przestali podziwiać pobożność Juliusa Rosenzweiga, zwanego Dłoniskiem albo Jolem. Nie przyjeżdżali z daleka ci, którzy całowali go w rękę, ani Żydzi, którzy nie całowali i nikt już nie wierzył w to, że rabin może leczyć z kłótni, nieporozumień i niedoboru miłości. Jak mógłby leczyć, skoro rodzony syn utopił się na jego oczach, a on przez swoją pobożność nie mógł go uratować.

Ciężko to znosił i w końcu zrozumiał, że był próżny. Schlebiali mu, że przyjeżdżają i wierzą, że może im pomóc, chociaż wiedział, że na te sprawy nie ma rady. Było to bardzo dawno, w czasach, kiedy Żydzi jeszcze nie wierzyli w zbawienną moc pocieszenia.

Bardzo tego chciał, ale Kala nie dała się dotykać. Ludzie nie przychodzili do niego, choć ich potrzebował. Tak oto rabin Julius Rosenzweig został przeklęty, a jego pobożność skazano na zapomnienie. Klątwa po dziś dzień krąży wśród bardziej i mniej pobożnych Żydów. I każdy sam dobrze wie, i w swoim imieniu może powiedzieć, czy ta klątwa dotyczy jego samego.



Joanna Buriel, *Marzenie*